

Od autora: ...

„Nie ma nic w umyśle, czego by przedtem nie było w zmysłach”

Vladimir Nabokov

Małżeństwo Mike’a od dawna wisiało na włosku, cienkim jak pajęczna nić, od samego początku będąc nieszczęsnym błędem ludzkich namiętności – tego potężnego żywiołu potrafiącego wstrząsnąć każdym, kto chętnie decyduje się na popłynięcie na niepewnych falach, pod którymi drzemią niebezpieczne wiry, zdolne niezwykle skutecznie uśpić rozum. Bowiem igranie z uczuciami zawsze kończy się źle dla igrającego. Ten rodzaj hazardu nie przewiduje wygranej, i kiedy przychodzi odpowiednia pora, naga i jakże brutalna prawda otwiera naiwne i dotąd ślepe oczy, by ujrzały krawędź przepaści.

On – stateczny psychiatra, dawno już przekroczywszy magiczną barierę czterdziestki, zdawał się być bez reszty pochłonięty pracą w klinice, nie dostrzegając narastającego z tygodnia na tydzień problemu i ogromu złych fluidów, krążących niebezpiecznie w atmosferze wokół jego życia – pulsujących ukrytym jadem, gotowych przyoblec się w ciało w każdej, przez nieubłagany los wyznaczonej chwili.

Niegdyś wulkan energii i siły, dziś przypominał przedwcześnie zgasłego człowieka, który gdzieś po drodze, wśród setek podobnych do siebie dni, niespodziewanie zestarzał się wewnątrz i zapomniał o zwykłych radościach życia.

Niezbyt ponętny stan rzeczy, zwłaszcza dla młodej żony, którą uporczywie zaniedbywał, choć określenie to nie wydaje się adekwatne do tego, co wkradło się w ich życie małżeńskie, i co sprawiało, że każdy mijający dzień i noc oddalały ich od siebie coraz bardziej.

Dzieliła ogromna różnica wieku – ponad dwadzieścia lat, lecz miłość jest i zawsze pozostanie ślepa, irracjonalna i nieobliczalna, popychając ku czynom, których żadną miarą nie popełniłoby się przy „normalnym” stanie umysłu, kiedy zachowana pozostaje trzeźwa ocena i wgląd w sytuację.

Trafiła do jego kliniki z powodu zespołu depresyjno-urojeniowego.

Natychmiast dostrzegł ją i wnet gwałtownie poczuł, że coś się zmieniło, coś w nim drgnęło.

Błękitne oczy dziewczyny patrzyły z niemym zachwytem na przystojnego, wysokiego bruneta, który starał się wydobyć ją z otchłani choroby, traktując na specjalnych prawach i z wyraźną nutą osobistego zainteresowania, które z dnia na dzień przerodziło się w formę troski, jaką otacza mąż żonę w chwilach przykrych i trudnych.

Często zaglądał do niej, zachęcając do długich rozmów, nie reagując na anomalie w myśleniu, dziwaczność urojeń czy wulgarny język – chłonał wszystko, co mówiła bezosobowym głosem, przygaszonym, lecz jakże elektryzującym.

Nie była to dziewczyna nadzwyczajnej urody, wręcz przeciwnie, przeciętna i pospolita, jednakże było

coś, co ciągnęło go ku niej potężną siłą nieznanego magnetyzmu, i czego sam przed sobą w owej chwili nie umiałby określić – zagadka odwieczna, odwieczny żywioł?

Wiedział doskonale, że imponuje jej wszystkim, najmniejszym gestem, spojrzeniem czy słowem, i w jej gorączkowo błyszczących oczach znalazł tę bezcenną pewność, której tak organicznie potrzebował – zapowiedź spokojnego zacumowania w cichej przystani, pełnej szczęścia i namiętności, co żarem rozpalić zdoła serce i ciało do czerwoności.

Już wiedział, jak to kiedyś będzie, już dostrzegł to oczami wyobraźni.

W perspektywie zamajaczył miły, przytulny dom, wypełniony bajeczną radością zwykłych dni i upojnych nocy.

Wyobrażał sobie ten dziko płonący ogień – do utraty tchu, do szaleństwa, do zapomnienia się w tej jednej, magicznej chwili, gdy ziemia porusza się.

Doskonale wiedział i czuł, że to „teraz albo nigdy” – już jej z rąk nie wypuści, odtąd pozostanie z nim na wieki, dopóki trwać będzie przygoda zwana życiem.

Zrozumiał, że nigdy nie odczuwał tak silnej pewności, kiedy może po raz pierwszy pojął, czym ona jest i jak smakuje, i że dotąd nie zdawał sobie sprawy z siły, jaka rodzi się, gdy owa pewność pojawia się w umyśle i sercu niczym prawda absolutna.

Kiedy kuracja zakończyła się, natychmiast zapytał: ”Wyjdiesz za mnie?”, nie mając wątpliwości, jaka będzie odpowiedź. I kiedy już ją usłyszał, był pijany ze szczęścia.

Ślub miał być cichy i bez niepotrzebnego rozgłosu, w gronie najbliższej rodziny i przyjaciół, w małym, wiejskim kościele, a zabawa weselna w dworcu, należącym do jednego z kolegów po fachu. Chciał mieć to wszystko jak najszybciej za sobą i przeżyć po raz pierwszy chwile rozkoszy ze swą wybranką, i z pewną przewrotnością pragnął zaczekać na moment ich fizycznego zespolenia, odwlec go w czasie, choć mógł do niego doprowadzić wielokrotnie już wcześniej. Byłoby to jednak zbyt trywialne, zbyt pospolite, niskie i odarte z magii, jaką daje noc poślubna. Nie brał pod uwagę innej ewentualności, tłumacząc tułając się do niego, rozpalonej dziewczynie, że gdy zaczekają, będzie to najpiękniejszym wspomnieniem, które zapamiętają na zawsze.

Wiedział, iż pragnęła go od dawna, by mocno i zdecydowanie, z dziką furją prawdziwego samca „robił to wiele razy do białego rana”, była na to gotowa już od chwili, kiedy po raz pierwszy dotknął jej ręki, niby przypadkowo, niby od niechcenia, i od tamtej chwili poznała niepodległą radość samogwałtu, kiedy wyobrażała sobie, że jest z nim.

Orgazm przychodził tylko wtedy, kiedy wkładała sobie cztery palce.

Podświadomie czuła, czego może się spodziewać od kochanka, co w jej oczach urastał do rangi prawdziwego mężczyzny, który intuicyjnie wyczuje, czego potrzebuje kobieta i da to jej, by świat zawirował, szalony.

- Spraw, bym chodziła szpagatem, mój słodki – mówiła do siebie w chwilach ekstazy. – Chcę być twoją suką, objawieniem, powołaniem. Sprostasz? Jestem kurwą, jestem boginią.

W całym swoim życiu nigdy nie był jeszcze z kobietą...

To miał być jego debiut.

Otwarcie zamkniętych dotąd drzwi.

Czekał ufny, że szczęście raz dane, nie opuści go już nigdy.

Nadchodził powoli czas, aby z dużego chłopca, stać się w końcu mężczyzną.

- Zerznij mnie, kochanie, zerznij mnie, skarbie, do bólu – szeptała, wsuwając język do jego ust, jednocześnie lubieżnie masując rozporek. – Bo kto, jeśli nie ty?

Ceremonia ślubna odbyła się z należytą powagą i w najlepszym stylu, aczkolwiek według zaleceń Mike'a, bez przesadnej pompy i płytkiej próżności, z dobrym smakiem, elegancko, wytwornie i uroczyście. Marzenia krok po kroku spełniały się, i widząc to, rozpierało go błogie uczucie wszechmocnej męskości i podniecenia, kiedy tak, kątem oka spoglądał na ramiona, dekolt żony, na jej soczyste, wydatne usta, na biust, i ten dziki, zwierzęcy błysk w oku, pełen nienasyconego, pierwotnego erotyzmu.

Cieszył się. Liczył godziny. Obserwował wielki zegar, stojący nieopodal pod jedną ze ścian, i błagał los, by przyspieszył bieg minut, aby ci wszyscy ludzie poszli już sobie i zostawili ich samym, tylko dla siebie.

Weselne zabawy powoli zmierzały ku upragnionemu zakończeniu, w miarę jak zaczynało świtać i budził się do życia kolejny dzień. Strudzeni tańcem i ciężkimi potrawami goście, jeden po drugim, stopniowo wymykali się do swych domów – pustoszało.

Wtedy Mike, pijany szczęściem, ujął dłoń żony i ruszyli razem do sypialni.

Przeznaczenie miało dopiero teraz odkryć swe karty.

Po raz pierwszy, lecz nie ostatni.

W mgnieniu oka na podłodze spoczęły bezładnie rzucone ślubne ubrania, ciała spragnione siebie splotły się w miłosnym uścisku. W upojeniu zmysłów wybuchła namiętność z siłą nieznana i szaloną, porywając w nieskończoną otchłań, bez pamięci, bez opamiętania, bez świadomości, że gdzieś obok istnieje jakiś świat, niedorzeczny jak dowcip idioty.

Spragnione usta pożerały się, wędrując po ciele, zgłodniałe, oszalałe...

- Wsadź mi, wsadź aż po samo gardło. Rób ze mną, co chcesz. Możesz nawet uderzyć. Chcę czuć, że jesteś moim panem. Dasz mi ten ogień, słodziutki?

Tej nocy pełnej namiętnych pieszczot nic się nie wydarzyło, nie pomogły ani czuły, zmysłowy dotyk, ani bliskość rozpalonych ciał.

I choć wydawało się, że czas stoi w miejscu, tak naprawdę go nie było, bowiem niepostrzeżenie, podstępnie i by nie rzucić się w oczy, zaczął iść do tyłu, jakby oddalając coraz bardziej to, na co oboje oczekiwali, i o czym marzyli przez długie tygodnie, naiwni.

Mike nie stał się mężczyzną.

I nie stał się nim nigdy później...

Jego impotencja, odkryta przez życiowy przypadek, okazała się dla niego samego fatalną niespodzianką. Nie przysłoby mu to nigdy do głowy, nigdy w kontekście własnej osoby.

Niestety fakt ten stał się nagłą rzeczywistością, i pomimo wiecznego podniecenia, które odczuwał na widok nagiej żony, nie był w stanie niczego zrobić, był w matni.

Coś zablokowało go i nie dało zgody na poczucie dumy z bycia samcem.

Dało zaś posmakować goryczy niespełnienia i przykrego ukłucia męskiego ego, które teraz okazało się już mniej męskie i oszukane przez świątynię własnego ciała.

Gdy mrok nocy zarzucał na ziemię czarną płachtę, zamiast nadal próbować, nie poddawać się zbyt łatwo, choć czas już działał na jego niekorzyść od dawna, myśl o namiętności poczęła wywoływać w nim lęk i ataki paniki, i nie czując się bezpiecznie w mężowskiej roli, stopniowo wycofywał się w głąb siebie,

unikając zbliżeń, dotyku czy pocałunków.

Uwierzył pewnego dnia, tak do końca, że to nie miało być mu dane.
Los bywa kłamcą, choć cokolwiek nie uczyni, zawsze okaże się prawdą.

Stosunki małżeńskie, do granic napięte, pogarszały się z dnia na dzień.
Młoda, pełna gorącego erotyzmu i drażniącego niezaspokojenia żona, widząc ignorancję męża i jawną niechęć, by ów tragiczny problem zbadać, traciła coraz bardziej i szybciej cierpliwość, w miarę jak upływały kolejne, zimne noce, bez ognia namiętności, bez jakże ważnego dla kobiety uczucia, że ktoś sprawia, że żar pożądania czyni ją kobietą spełnioną, bo obok jest mężczyzna, który umie wyzwolić jej wulkaniczną kobiecość tu i teraz, wyczytując tę potrzebę ze spojrzenia, gestu czy słowa.

Mike uciekał coraz bardziej w pracę.

Wracał coraz później do domu, zmęczony lub udając zmęczonego, wychodząc z kliniki ostatni, by zastać żonę już śpiącą i uniknąć tego dusznego, ciężkiego napięcia, jakie się między nimi wytworzyło, odkąd pękła ta cienka, pajęczna nić.

Jej zmysłowość i nieugaszony potencją samca erotyzm wziął w końcu pewnego dnia górę nad biegiem wydarzeń, i jak kropka nad „i”, okazały się być tym, co jednym pociągnięciem potrafi zakończyć długotrwały impas – jak przecięcie węzła gordyjskiego – brutalnie i skutecznie.

Wtedy, niby przypadkiem, gdzieś na korytarzu, z palca Mike’a zsunęła się obrączka, tak po prostu, tak zwyczajnie, sama ześlizgnęła się i upadła na ziemię.

Rzecz dziwna...

Palce jego były grube i mięsiste, więc jakim cudem? Jak to sobie wytłumaczyć?

Podniósł ją zdziwiony i poruszony dziwacznością zajścia, jednak tknięty jakimś, nieokreślonym, złowróżbnym przeczuciem, że to nie przypadek...

Tego dnia żona odeszła.

Kiedy wrócił do domu, jej już tam nie było – tylko lodowata pustka powitała go w progu.
Zostawiła jedynie kartkę, napisaną z żenującą szczerością, że odchodzi do kogoś, kto jest mężczyzną i kogo kocha od dawna, tak – kocha – jak kobieta potrzebuje kochać, całą sobą, i bardzo lubi to uczucie, kiedy po gorącej nocy wciąż marzy, by zerznął ją raz jeszcze, jak pies, jak zwierzę, bo wtedy wie, że to miłość, bo jeśli mężczyzna umie rznąć swoją kobietę, to znaczy, że ją kocha.

Wiedział, że nie będzie jej szukał.

Wiedział to już wtedy, tak szybko, nagle i gwałtownie. To przyszło jak podmuch wieczornego wiatru, choć wewnątrz wyło całe jestestwo, skowytam żalosnym i bezsilnym. Ta krótka chwila wystarczyła, by nie chciał już niczego, co by się mogło z nią wiązać, byłoby bólem – rozdrapywaniem rany, wkładaniem do niej palca.

I pojął nieoczekiwanie, że doszedł do punktu, do magicznego momentu, w którym czas zatoczył koło i zatrzymał się gwałtownie u jego stóp.

A może po prostu należałoby na to spojrzeć jak na zwykłe doświadczenie życiowe, dające pole czemuś, co ma dopiero nadejść i objawić się z całą niezwykłą, niepoznaną do teraz prawdą?

Postanowił zachować zimną krew.

Chodził więc dalej do pracy, udając wewnętrzny spokój, nie zdradzając się nawet na chwilę ze swoimi myślami, niecodziennym problemem, i tym wiecznie powracającym wspomnieniem bolesnej porażki.

Jako lekarz i doskonały psychiatra wiedział, jak pokryć to, co zapadło w głąb duszy maską pozornej, błędnie odegranej bez troski – nie chciał bowiem, aby jego życie zostało zrujnowane i zatrute przez coś, co nie było jego winą, przynajmniej niezawinioną, i by to ciągnęło się za nim w nieskończoność, dając innym powody do kpin i złośliwych uwag.

Przed wszystkim czuł się nadal lekarzem i musiał dbać o swój wizerunek oraz dobre imię, i choć los obzedł się z nim okrutnie, należało pokazać światu sztuczny, przyklejony na zawsze uśmiech, który z biegiem czasu stanie się szczerym i własnym.

Czas płynął i każdy dzień podobny był do poprzedniego, aż nagle...

Pewnego wieczora, wracając z pracy, szedł jedną ze słabo oświetlonych, wąskich uliczek, zamyślony i nieobecny. Myślami był jeszcze przy tym, z czym przyszło mu zetknąć się w klinice – przy swych pacjentach i kłębowisku ich pokręconych losów.

Nagle dostrzegł w jednej z ciemnych bram postać.

Utopił w skrytej w mroku twarzy badawcze spojrzenie.

Szary człowiek stał bez ruchu, wydając się nierealną zjawą z zaświatów, zastygły w swej kamiennej pozie.

Niczym martwy posąg, który w niemym osłupieniu trwał, nieruchomy.

Majaczące w jesiennym zmierzchu dziwne oczy patrzyły...

W tę osobliwą godzinę wydawały się świecić w czeluściach nocy niczym dwie dopalające się zapalki. Tajemniczy mężczyzna obserwował. Nie poruszył się nawet przez chwilę, nawet przez sekundę nie zmienił postawy.

Nagle, w momencie, kiedy Mike zbliżył się do niego na odległość kilku metrów, wysunął się nieoczekiwanie z bramy i zastąpił mu drogę.

- Panie szanowny, nabądź pan to ode mnie drogą kupna – w powietrzu dało się poczuć cierpki odór przetrawionego alkoholu. – Tanio spuszcza. Trzeba zainwestować w alkohol, jest najwyżej oprocentowany, he he - mówiąc to, wólcęga podał coś Mike'owi.

Był to portret mężczyzny, olejny, w jasnych, drewnianych ramach.

Nic specjalnego.

- A skąd żeś to wziął? Pewnie ukradłeś komuś, co?

- E, tam, zaraz ukradłeś... Na co on komu, tu, na ulicy. Niech idzie w lepsze ręce.

- Mówisz?

- Ano, mówię. A niech idzie... Dużo nie chcę.

- Masz – Mike wyjął banknot i podał pijakowi – i nie strasz ludzi po nocy.

- Dziękuję, panie. A może chce pan podupczyć? Moja siostra tanio daje. Obyta w te klocki.

Można ją przewalić tam i z powrotem. Ludzie mówią, że nieźle robi łoda.

- Co?

- Nic – wybelkotał szary człowiek i zniknął w mrokach bramy.

Ulica znów była taka jak przedtem, jakby cała, niedawna scena była tylko efektem wyobraźni, nagłym złudzeniem. Tylko cisza i szum bezlistnych drzew wypełniał sobą pustkę bezludnego zacisza. Nigdzie

żywej duszy, jedynie noc i gwiazdy na niebie. Nieme domy o ciemnych, zasłoniętych oknach obserwowały niecodzienne spotkanie.

Z portretem pod pachą Mike wrócił do domu.

Rozebrał się i rzucił okiem na obraz, tym razem uważnie.

Była to twarz mężczyzny, niemłodego już, lecz z dziwnym, przewrotnym błyskiem w oku i czarnymi, gęstymi wąsami. Patrzył pewnie w przestrzeń mocnym, męskim spojrzeniem, w którym wyczuwało się natychmiast silny, władczy charakter. W kąciку ust igrał złowieszczy, nieco demoniczny uśmiech, kpiący jakby z patrzącego, wyzywająco niepospolity i... z lekka perwersyjny.

Całość sprawiała wrażenie dość dziwaczne i lekko niepokojące, jakby namalowana twarz lekceważącym spojrzeniem ciemnych oczu ukazywała swoją bezsprzeczną wyższość.

- Dziwny gość... Ale co tam! Niech sobie tu wisi, ściana i tak pusta.

To powiedziawszy, poszukał pośpiesznie w szpargałach młotka i gwoździ i zawiesił portret nad łóżkiem.

Przyglądając się uważnie obrazowi, ni stąd, ni zowąd poczuł się niezrozumiale beztrosko i wesoło – jakaś dziwna i niepojęta przemiana zaszła w jego zachowaniu od chwili, kiedy obraz zawisł na ścianie i spojrzał nań oczyma tajemniczego mężczyzny – coś go silnie pobudziło jak po solidnej, mocnej kawie i rzecz dziwna. Osobliwa i irracjonalna...

Ogarnął go nagły przypływ... podniecenia.

Podejrzana i zaskakująca zmiana tym bardziej wydawała się niewytłumaczalna, iż była to przecież męska twarz, nie akt kobiecy. I równie nagle znikło gdzieś całodziennie zmęczenie, a po ciele, po każdym jego najmniejszym zakamarku rozplynęło się błogo przyjemne napięcie, coś na kształt oczekiwania na randkę z piękną kobietą.

- Co za licho? Po całym dniu powinienem być przecież zmęczony i zużyty.

Lecz niewytłumaczalne podniecenie nie ustępowało, wręcz przeciwnie, tej nocy nie udało się zasnąć bodaj na godzinę. Wyobraźnię poczęły atakować gwałtownie plastycznie zmysłowe, pełne nieokiełznanego erotyzmu obrazy, wróciły prawie zapomniane dzikie i pulsujące pierwotną namiętnością myśli. Nagle znalazł się w ich centrum, jakby oglądając niezwykły film, puszcزany wprost we własnym mózgu, jakby patrzył na coś, co nieopodal dzieje się na jego oczach, szalone i napęczniałe niewyobrażalną ekstazą...

Zastygł w tym wszystkim i do rana przeleżał w łóżku, sycąc zmysły przedziwnym przekazem.

Sam niebawem zaobserwował w swoim zachowaniu tajemniczą, wymykającą się wszelkiej logice, przemianę.

Rankiem, następnego dnia zerwał się na równe nogi, rześki i pobudzony pomimo nieprzespanej nocy, i poczuł dziwny wigor, jakiego od dawna nie odczuwał, jakąś niepojętą chęć działania, parcia do przodu, byle przed siebie, byle być w ruchu. Rozsadzała go nieznana energia, jakby dostał nowe życie, lub może nawet kilka istnień – odczuwał w sobie moc i siłę, by góry przenosić, by dokonać niemożliwego, czymkolwiek by się to nie okazało, czuł, że rodzi się ponownie, niczym wulkan potencji i jurności.

- Zaczyna mi się to podobać – powiedział, patrząc z podziwem na okazały, pulsujący wzwód.

Pracę wykonywał w iście piorunującym tempie, będąc w stu miejscach naraz, słuchając kilku osób jednocześnie, każdej poświęcając z osobna uwagę, dwoił się i troił, jakby żyło w nim kilku lekarzy, zawsze w ruchu, nigdy nie odczuwając bodaj cienia zmęczenia.

Tryskał wokoło perlistym dowcipem i jego śmiech długo jeszcze brzmiał w korytarzach kliniki, a wesołość udzielała się ogólnie każdemu, z kim dane mu było się zetknąć, i kolegom, i niektórym pacjentom, którym jakby oddawał część swej żywotności.

- Co się ze mną stało? – sam zadawał sobie często nurtujące pytanie. – Gdzie szukać przyczyn? Powinienem być przecież załamany, poległem ponoć na całej linii...

I gdy wypowiadał te słowa, siedząc w swym domu, tajemniczy portret zdawał się przytakiwać, a wąsaty obserwator uśmiechał się przewrotnie, uporczywie patrząc.

W oku miał znów ten sam błysk nieokreślonej przebiegłości, nieco bałamutny, nieco jakby dwulicowy – to niewypowiedziane COŚ, co mogłoby zaniepokoić każdego przygodnego widza, i nie pozostawić obojętnym. Każdy pewnie dostrzegłby w nim ów odrobinę szydlerczy ognik, cierpko drwiący z tego, kto go zobaczył, każdy poczułby niemiłe ciarki, przebiegające gwałtownym spazmem po grzbiecie lub bodaj przelotny, nieokreślony niepokój...

Każdy, lecz z pewnością nie Mike.

Ileć wracał po pracy do domu, bez względu na natłok zawodowych obowiązków, które przyszło mu wypełniać za dnia, i pomimo pewnego zmęczenia, które jednak musiało pojawić się jako naturalna konsekwencja hiperruchliwości, w kontakcie z przedziwnym obrazem zawsze pojawiał się silne podniecenie płciowe i przyływ wyobrażeń erotycznych.

Śledził wówczas wyraz twarzy mężczyzny, nie spuszczać z niego oczu, uporczywie i zawzięcie patrzył, by czegoś więcej się dowiedzieć. Czego? Sam nie wiedział.

Dziwny, diaboliczny uśmieszek nie znikał, a obserwacja nie przynosiła żadnych skutków – obraz trwał nieporuszenie na ścianie, wykluczając wszelką ewentualność jakiegokolwiek dialogu. Obrazy wszak nie mówią. Co za szkoda, może opowiedziałyby coś intrygującego?

Nigdy nie próbował się masturbować – byłoby to zbyt niskopienne, tego typu praktyki nie określały go jako mężczyznę, w całej swej smętnej desperacji jawiły się jako żart krety, który nerwicowo masując fallusa stawia się na równi z kimś, kto dłubie w nosie i zjada to, co tam znalazł.

Mike'owi było dobrze w „nowym” wcieleniu.

Nagle poczuł się sobą sprzed wielu lat, jak gdyby nic złego po drodze się nie wydarzyło, jak gdyby wczoraj był młokosem i miał obietnicę wszystkiego, co w życiu najlepsze.

Znów wróciła euforia, której smaku już nie pamiętał, której kształtu nie odczuwał.

Sam zauważył rzecz znamioną – w pracy nie czuł tak silnego popędu, tylko w domu, kiedy spoglądał na portret...

Trochę go to zaniepokoiło, bowiem z punktu widzenia psychiatrii było to nieco odbiegające od normy, dość osobliwe i niewytłumaczalne zachowanie. Brak tu jednak jakiegokolwiek logiki, lecz zaraz tłumaczył to sam sobie, że przecież świat roi się od rzeczy i zjawisk, których nie sposób wyjaśnić na drodze chłodnej analizy. I to zapewne była jedna z nich.

Gdzieś, w zakamarkach mózgu, niczym odległe echo, pewnego dnia pojawiło się głuche przecucie, w podświadomych złożach duszy, coś zdawało się nieśmiało ostrzegać o tym, co miało wkrótce nadejść – jak mglista zapowiedź, jak tajemna forpoczta, jak niejasny zwiastun.

I ów niewytłumaczalny stan ogromnego, bolesnego napięcia przybrał formę gwałtownego przesilenia w pewien, jesienny, ponury czwartek...

Dzień niczym nie różnił się od tysięcy innych czwartków, z pewnym jednak wyjątkiem. Jak zwykle po pracy, po powrocie do mieszkania, Mike nalał sobie kieliszek czerwonego wina i nagle, jak rażony niewidzialnym piorunem, zerknął szybko na obraz. Magnetyczne spojrzenie ciemnych oczu nie znosiło sprzeciwu – nie dziś, nie tego wieczora. Odwrócił wzrok i zastygł na krótką chwilę, sącząc wino. Coś było już bardzo blisko, tak blisko, że bliżej być nie mogło... Myśl jak błyskawica przeszła czaszkę ostro i bezwzględnie.

Poderwał się na równe nogi i pośpiesznie ponownie ubrał. Nie dopijając trunku, w pędzie opuścił mieszkanie. Czuł niesłychane podniecenie, doprowadzające niemalże do obłędu, piekielne pożądanie, jakiego dotąd nigdy nie zaznał – krew wrzała w ciele niczym szalony żywioł, wywołując gwałtowne dreszcze rozkoszy. Jeszcze trochę i zwariowałby od tego, nie mogąc nijak przeciwstawić się wszechmocnej, potężnej sile – nie było na to już szansy. Wsiadł pośpiesznie do przypadkowej taksówki i nakazał jechać na obrzeża miasta. Była już prawie noc, zimna i wilgotna, co potęgował opętańczy, ostry wiatr, szamoczący się dziko w otchłaniach mroku.

Zapatrzony w przestrzeń, jechał. Patrzył długo i jego zamglony, nieobecny wzrok nic nie dostrzegał, na niczym specjalnie się nie skupiał – na twarzy pojawił się nieruchomy niby wytrzeszcz, niby grymas obojętności. Choć szeroko otwarte oczy napotykały na domy, ludzi czy przydrożne drzewa, nie rejestrowały nic, sztywno wpatrując się bezcelowym spojrzeniem, które było pustką...

W pewnej chwili jakby przebudził się z letargu i stanowczo polecił zatrzymać się, zapłacił i w pędzie wyskoczył z taksówki. Ruszył w kierunku domków parterowych, rozsianych na odludziu. Pewnym krokiem dotarł do jednego z nich i bez wahania otworzył furtkę. W głębi dostrzegł młodą kobietę. Podbiegł do niej i bez słowa zaczął całować – gorąco, namiętnie, dziko. Nie broniła się wcale, jakby od dawna tego pragnęła, jakby tej nocy właśnie na niego czekała. Jak para zwierząt przywarli do siebie i w ten sposób wziął ją od tyłu – mocno, zdecydowanie, perwersyjnie.

Była bardzo miękka, a szerokie biodra doprowadzały go do szału. Kiedy pieścił jej piersi, siemiężnie międląc, jęczała, i wówczas przyspieszał, a ona napierała na niego, rozpalona jak dzika kotka, gotowa w każdej chwili eksplodować, czując, jak jego język wdziera się do ucha, a dłoń wędruje coraz niżej i niżej.

Masował ją przez jakiś czas, po czym powiedział:

- Klęknij, suko.
- Wtedy dokończyła to, co on zaczął.
- Smakowało?
- Tak.
- To, kurwa, fajnie. Będziesz miała od tego ładną cerę. Skończ z kremami, to oszustwo.
- Dobrze.
- Nie ma to jak powrót do natury. Od obciążania druta jeszcze żadna nie kopnęła w kalendarz.
- Chyba tak.

Gdy oboje, zmęczeni rozkoszą pośpiesznie ubierali się, nawet na siebie nie spojrzeli. Naciągnąwszy płaszcz, szybko opuścił posesję i ruszył w kierunku miasta.

Tej czwartkowej nocy, wśród podmuchów jesiennego wiatru, Mike stał się mężczyzną.

Tydzień nie przynosił z reguły żadnych anomalii w jego zachowaniu, lecz gdy przychodził czwartek, pchany silnym nakazem – imperatywem kategorycznym, nieznoszącym sprzeciwu, wędrował niekiedy w odległe rejony miasta i tam oddawał się swemu przeznaczeniu.

Bowiem przeznaczenie puka do ludzkich drzwi wielokrotnie i nikt nie zna dnia ani godziny, kiedy owo nieoczekiwane, głośnie pukanie rozlegnie się. Wtedy nie ma już odwrotu, a to, co pozostaje, to zwykła, człowiecza bezsilność. Na jej oceanie podryfuje się ku nieznanym brzegom, gdzie czekać będzie to wszystko, co zwie się nowym, lecz czy aby zawsze lepszym?

Tydzień po pierwszym razie, wyjechał dość daleko podmiejską kolejką, aż do granic miasta.

Idąc potem obcą, szarą ulicą, czuł wyraźnie to, co wcześniej, lecz jeszcze silniej i dogłębniej, i jak szybki cios z zaskoczenia, coś gwałtownie pchnęło go do najbliższej bramy.

Młoda kobieta, oparta o mur, patrzyła jak zbliżał się do niej, i kiedy już był blisko, spojrzała mu w oczy, by po chwili zaborczo i szaleńczo zacząć go dotykać i całować. Wsadził jej rękę pod sukienkę – nie miała majtek. Była bardzo wilgotna i gorąca, bardzo gotowa tego wieczora.

Przez chwilę masował ją, patrząc lubieżnie w oczy.

Nie minęło pięć minut, kiedy oddali się miłosnym igraszkom, z dziką, prymitywną żądzą na bezładnie rzuconym na ziemię płaszczu.

Brał ją ostro jak wygłodniały pies, a ona prosiła o więcej, krzyczała, ssąc jego kciuk.

Gdy gwałtowna fala orgazmu targnęła nim, podniósł się szybko i zbliżywszy do jej twarzy, wsadził ceremonialnie nabrzmiałego fallusa w usta.

- Zagrasz mi melodię zakochanych, dziwko? Lepiej to zrób, bo ci łeb rozwalę.

Po jakimś czasie spytał z głupia frant:

- A kiedy straciłaś dziewictwo?

- W piątej klasie, tata mnie... tego, no...

- A co teraz robi tata?

- A ma nową rodzinę.

- Rozumiem.

- Wrócisz jeszcze kiedyś?

- Chyba cię pojebało, może w snach.

- Zaczekam.

- Kurwa, sny to popieprzone sprawy.

Znów sytuacja powtórzyła się – rozstali się beznamiętnie, rozeszli w różne strony świata, obcy sobie, na moment połączeni w miłosnym szale nieznanymi, siłą mrocznych przeznaczeń zespoleni...

Chociaż notoryczne podniecenie nie opuszczało go nawet na krok, jakoś sobie z nim radził, ograniczając się do wodzenia wzrokiem za ponętymi kobietami, snując dzikie fantazje, w których brał je ostro jedna po drugiej na wiele sposobów, bez końca, do utraty tchu.

Na tym się na szczęście kończyło – patrzeć w zupełności wystarczało, by wyobrazić sobie resztę. A wyobraźnię miał w tym względzie przeogromną.

Jednak zawsze błyszczał nienaganną kulturą osobistą i klasą, pomimo wojny w głowie.

Flirtował w pracy z koleżankami, jak i z nieco już podleczoconymi pacjentkami, oczywiście tylko plato-nicznie, bowiem wszystko odbywało się póki co w granicach dobrego smaku i bariera intymności nigdy nie została przekroczona. Ani razu nie posunął się też choćby do dotknięcia dłoni, muśnięcia czy poklepania. Wiedział, jaki wpływ wywiera na kobiety i był z siebie dumny, gdyż mile łechtalo to jego męskie ego i jakże radowało, gdy w tych dziesiątkach, wpatrzonych w niego, kobiecych oczu, wnet dostrzegał po-

dziw i... pożądanie.

Gdy znów nadchodził czwartek, coś od rana zaczynało się z nim dziać, gorąca krew grała w ciele już od chwili przebudzenia, powodując nieznośne napięcie - to znane uczucie nadchodzącego, szalonego katalizmu, rozsadzające go od wewnątrz.

Pożądał i to bardzo.

Nie mógł skoncentrować się na pracy, na słowach, które do niego płynęły z różnych kierunków, skakał z tematu na temat, a myśli gnały jak pociąg – dzikie, nieokiełznane, rozpasane. W czaszce kotłowało się, a na twarzy rysował się jakiś bolesny grymas, jeszcze chwila, może dwie i nastąpi katastrofa. Nadrabiała płytką wesołkowatością. Całokształt myślowy ograniczony został do spraw płci, kształtu, dotknięć, fizycznego obcowania, które powoli stawało się jakąś osobliwą formą bytu - wszystko zamknęło się w sferze żądzy, ciała, zaspokojenia...

Teraz już wiedział, że coś się zmieniło.

„Układa mu się we wszystkim, taki radosny... Człowiek odmieniony, i to jak! Takim go powinniśmy widywać codziennie... Aż miło na niego spojrzeć, musi mieć udane życie seksualne...” – mówiło otoczenie. I miało prawo, przecież przez cały czas ukrywał przed nim, iż jego małżeństwo legło w gruzach. Zachował to dla siebie, nie pisał nawet słowem.

I nagle znów był czwartek.

I znów, jak cofnięty film, wszystko się powtórzyło...

Biegiem wtargnął do mieszkania, zostawił teczkę i sięgnął po kieliszek czerwonego wina.

Trunek rozlał się miło po gardle i po chwili twarz z portretu spoglądała kpiarsko, z ironicznym uśmiechem, z diaboliczną iskrą w oku.

Przenikliwe, ciemne oczy świdrowały go na wylot, nie pozwalając oderwać od siebie wzroku.

Zalała go fala pożądania.

Człowiek z portretu w przewrotnym zachwycie nie spuszczał z niego natrętnego spojrzenia.

Mike z niemałym wysiłkiem odwrócił się i ruszył do drzwi.

Szybko zbiegł po schodach i pognął w miasto.

Mrok powitał go zimnym podmuchem wieczornego wiatru.

Teraz miało być inaczej.

Teraz przewrotny los przyszykował mu niespodziankę.

Znów pisane mu było dotknąć przeznaczenia, jednakże dotyk ów miał okazać się gromem z jasnego nieba...

Idąc nie patrzył, gdzie jest, szedł prosto, gnany nieznana siłą, nieznoszącą sprzeciwu.

Kroki stawiał duże, jakby czasu było dziś mniej, jakby miał być TAM na czas, punktualnie.

Już TAM pewnie na niego czekali. Już wszystko było gotowe, brakowało tylko głównego aktora.

On był tu wszak postacią najważniejszą, głównym ogniwem.

Po jakimś czasie znalazł się na krańcach miasta, gdzie ciche ulice przechodziły już w kończące się w polach, drogi gruntowe. Zaczął się rozglądać uważnie dookoła, z zapartym tchem, jakby czegoś szukał. W znękaną głowę szalała gęstwina myśli, pożądanie rozpierało od środka ciało. Nagle natknął się na zapórę – była to furka do ogródka.

Gwałtownie pchnął ją i wszedł do środka, kierując kroki ku werandzie, na której w fotelu siedziała skulona kobieta. Czuł już nieubłagane zbliżanie się żywiołowej fali żądzy, gdy nagle zauważył, że kobie-

ta nie była młoda. Miała lat może pięćdziesiąt, może nieco więcej, i na jego widok drgnęła, podnosząc się i rozchylając w milczeniu płaszcz – była naga.

Mike niczym zgłodniałe zwierzę rzucił się na nią, biorąc ją gwałtownie na fotelu.

Jej nogi na jego ramionach rytmicznie poruszały się, kiedy wypełniał ją swoją męskością.

Szał zmysłów przesłonił mu oczy, czas stanął w miejscu, a świat rozplynął się w niebycie.. Trwało to wieki, jakby miało nie być jutra.

Zmieniały się tylko pozycje, lecz on napierał dalej, jurny i dziki jak zachodni wiatr.

I tylko jej krzyk szedł w eter, krzyk kobiety, której w tę godzinę ktoś naprawdę dogodził.

Chwycił ją za włosy i krzyknął:

- Dobrze ci? Powiedz, że ci, kurwa, cholernie dobrze! Że jeszcze nikt cię tak nie walił!

Gdy było już po wszystkim, pośpiesznie podniósł rzucony na ziemię płaszcz i odszedł ku miastu, lecz jeden mały drobiazg miał niebawem zmienić całe jego życie...

Na werandzie wypadła mu wizytówka.

Niby przypadkowo, niby tak zwyczajnie.

Niby...

Mijały znów dni pełne obsesyjnego pożądania i rozpraszania go na wszystkie strony, opętańczego miotania się wokół własnej osi niczym szalona maszyna, której nikt nie potrafi zatrzymać, zatracająca się w owym ruchu w nieskończoność jak wiatr, który nie po to wieje, by go zamknąć w dłoni, lecz by zrywał dachy i łamał drzewa...

Jakoś szybko zleciał tydzień i po środzie nastał czwartek.

Po pracy pośpiesznie pognął do domu – znów to samo demoniczne podniecenie, boleśnie pulsujący wzród, wrażenie, że nadchodzi szal, bezimienna siła, znany dobrze wir, który zassawszy, nie puści, aż spełni się to, co zapisane w gwiazdach.

Bo nic w życiu nie jest dziełem przypadku.

I kiedy wchodząc po schodach nagle znalazł się już prawie pod drzwiami, ku swemu zdziwieniu odkrył, iż stoi tam jakaś kobieta.

- Kim pani jest? – zapytał. – Śpieszy mi się! – krzyknął nieoczekiwanie, wyszarpując z kieszeni pęk kluczy. – Proszę odejść na bok!

- Pan mnie nie poznaje? – spytała nieznajoma.

- A powinienem? Chociaż... gdzieś już chyba panią widziałem... - odparł niepewnie. – ale za nic nie przypominę sobie. Naprawdę, przykro mi. Pacjentka? Bardzo mi się śpieszy.

- Pan NAPRAWDĘ nie pamięta? – na jej twarzy pojawiło się zdziwienie i niedowierzanie. – PAN ZE MNĄ BYŁ... TYDZIEŃ TEMU... ZGUBIŁ PAN TO... - tu pokazała mu wizytówkę.

- Jak to możliwe? To rzeczywiście moja wizytówka, ale... Niech pani wejdzie – zdecydowanie otworzył drzwi. – Byle szybko, nie mam czasu!

Zapalił światło.

Weszli do pokoju.

Bez zbędnych wstępów poprosił o wyjaśnienia.

Zanim kobieta cokolwiek powiedziała, jej wzrok padł nagle na wiszący na ścianie portret.

Na jej twarzy pojawiło się nagłe przerażenie, nad którym nie była w stanie zapanować.

- Skąd pan TO ma? – zapytała drżącym głosem.

- Kupiłem kiedyś, a co?

- No tak... Co pan może o nim wiedzieć. Pan go przecież nawet nie znał.
- Kogo? O czym pani mówi?
- To mój mąż, to był mój mąż... Szalony człowiek. Zły, odmieniony... Boże, dlaczego ja to wszystko mówię?!
- Pani mąż? – Mike’a ogarnęło nagle zdziwienie. – To jakiś chory zbieg okoliczności!
- Może i zbieg... I on też... no wie pan... zdaje się, że oszalał... A może to magia jakaś była...
- Nic nie rozumiem. Pani nie szanuje mego czasu, cennego czasu! Mnie się śpieszy!
- Wie pan... on się zastrzelił, kiedy to wszystko się wydało.
- Co takiego? Proszę jaśniej, bo mam w głowie zamęt. Co niby miało się wydać?
- On był psychiatrą. Miał przecież mnie, byłam wtedy jeszcze piękną kobietą, a jednak... Wie pan, to trudne, bardzo trudne... Był moim pierwszym mężczyzną.
- Niech pani natychmiast mówi! – krzyknął nagle, rzucając się w fotel. – Co się wydarzyło?
- Początkowo wszystko układało się między nami dobrze, kochaliśmy się, był czuły, kupował mi prześliczne róże... Ale nagle coś go opętało. Och... ten brutal... on gwałcił kobiety! – mówiąc to, wybuchła spazmatycznym płaczem.
- Niech się pani uspokoi!
- Wszystko się wydało, i zanim przyszła policja, zastrzelił się w łazience.
- Kiedy?
- W czwartek, jesienią, piętnaście lat temu.

Zaczynał coś rozumieć.

Było to dotknięcie gołą ręką rozżarzonych węgli.

Coś nagle rozbłysło w mrokach opętanego chorą żądzą mózgu.

Natychmiast znikło podniecenie, a z płataniny sprzecznych sobie myśli, jak pędzący pociąg, jak błyskawica w dzień burzy, uderzyła jak młotem, myśl pewna, jasna, oczywista...

- Byłem z panią w zeszły czwartek?
- To było szalone... Jakbym z nim była... – przerażona kobieta ukryła twarz w dłoniach. – On też TAKI bywał... Często, zbyt często. Nie wiem do dziś, czemu panu uległam. To było jak nakaz, jak zaćmienie umysłu... jakby mi go odebrano na chwilę... jakby ktoś inny kierował moją wolą.
- Nie wiem, co we mnie wstąpiło. To naprawdę byłem ja?
- Zgubił pan wizytówkę.
- A więc jednak.
- Pan to robił od dawna...
- Nie wiem.

Teraz dopiero wróciła świadomość, jakby nieoczekiwanie powrócił z dalekiej, męczącej podróży, teraz zrozumiał, że nie spędzał czwartkowych wieczorów w domu, że złe ziarno padło na podatną glebę.

Nigdy nie uwierzyłby, że był wtedy gdzieś, w nieznanych miejscach, z obcymi kobietami, których nawet nie pamiętał, bowiem pamięć jego nie przechowała nic z owych, przedziwnych „wypraw”, uśpiona i pograżona w niebycie.

Krew uderzyła mu do głowy nagłym wybuchem szału.

- Dość! – wrzasnął i chwycił przekłętą obraz, roztrzaskując go o podłogę.

Resztki pośpiesznie wyrzucił przez okno na ulicę.

Po chwili rozległ się tylko suchy trzask.

- Tam twoje miejsce! O Boże... Co teraz?

- Coś kazało mi tu przyjść i powiedzieć panu całą prawdę. Nie wiem, czemu to zrobiłam.

To był taki przymus. Ja musiałam. Przepraszam... już pójdę, nic tu po mnie... - mówiąc to, ruszyła w

kierunku drzwi.

- Ale...

- Do widzenia panu – drzwi zatrzasnęły się głucho.

Usiadł w kucki na podłodze i tępo spojrzał na ścianę nieobecny wzrokiem – ledwie oddychał, a koszmarny ból rozsadzał mu czaszkę nieznośnym ciśnieniem.

Nagle pod wpływem nieznanego impulsu poderwał się na równe nogi i chwycił płaszcz.

Dogoni ją, porozmawiają, upewni się, że to nie była halucynacja.

Wybiegł jak szalony z mieszkania, nie zamykając drzwi i pędził przed siebie jak w obląkańczym transie, rozpychając zdziwionych ludzi na ulicy. Gnał gdzieś, w mrok nocy, w tę godzinę osobliwą, godzinę przekłą, gdzieś niesiony siłą złowieszczych spełnień...

Nieobecne oczy odbijały stalowy blask księżyca.

Czerń otoczyła go swym wszechobecnym ramieniem.

I tylko wiatr, tylko on wył przeraźliwie w czeluściach wieczornego świata.

Nagle przystanął.

Rozejrzał się dookoła – znalazł się na stacji kolejowej, u wylotu z miasta, wśród pól i łąk.

Wtem ruszył w kierunku wagonów, które w bezruchu oczekiwały na sygnał do jazdy. Podbiegł bliżej i nagle, przez moment, wydało mu się, że zza lokomotywy wyrzała znana mu, przekłeta twarz...

TWARZ Z PORTRETU.

Instynktownie skoczył w kierunku torów, i wtedy, po raz ostatni, przeznaczenie stanęło mu na drodze.

Rozpędzony pociąg z ogromną siłą uderzył mężczyznę, gdy ten przeskakiwał szyny.

Nieubłagany los przeciął wątłą nić jego życia na zawsze.

18 lutego 2014

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

mike17, dodano 04.03.2014 08:52

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.